

FINALISTA NAGRODY BOOKERA  
ZA POWIEŚCI *RYBACY* ORAZ *ORKIESTRA BEZBRONNYCH*

# CHIGOZIE OBIOMA

*Cudownie łączy świat ludzki ze światem duchowym.  
Jeden z ważniejszych powieściopisarzy Afryki.*

SALMAN RUSHDIE



# ORKIESTRA BEZBRONNYCH

ALBATROS

Tytuł oryginalu:  
AN ORCHESTRA OF MINORITIES

Copyright © 2019 by Chigozie Obioma  
All rights reserved  
Published by agreement with Craig Literary, USA  
and Book/lab Literary Agency, Poland

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2020

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki oryginalnej: © Gray318, 2019 Hachette Book Group, Inc.

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Mieszka

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

## Pierwsze zakłęcie

### OBASIDINELU...

Staję przed tobą tutaj, w tym wspaniałym sądzie Bechukwu, w Eluigwe, na ziemi wiecznego jasnego światła, gdzie rozbrzmiewa nieustająca melodia fletu, serenada dla nieba...

Tak jak inne duchy stróże wracałem na *uwa* w wielu wcieleniach, za każdym razem wprowadzając się do nowo stworzonego ciała...

Przybywam w pośpiechu, przemierzając niepowstrzymanie jak dzida szerokie trakty wszechświata, bo mam pilną sprawę, to kwestia życia albo śmierci...

Staję tu, chociaż wiem, że *chi* ma złożyć ci świadectwo, gdy jego gospodarz już nie żyje, a jego dusza wstąpiła do Benmuo, tej niewielkiej przestrzeni pełnej duchów i istot bezcielesnych wszelkich rozmiarów i kolorów. Dopiero wtedy bowiem pozwalasz, żeby do twojej siedziby, tej wielkiej niebiańskiej krainy, przybywały duchy stróże i prosiły w imieniu dusz ich gospodarzy o możliwość bezpiecznego przejścia do Alandiichie, królestwa przodków...

Zjawiamy się w tym miejscu, świadome, że dusza ludzka może powrócić na ziemię w postaci *onyeuwa*, aby się odrodzić, tylko jeżeli została przyjęta do kraju przodków...

Chukwu, stwórcu wszystkiego, przyznaję, że postępuję

zuchwale, przybywając tu, aby świadczyć, gdy mój gospodarz jeszcze żyje...

Ale jestem tutaj, bo prastarzy ojcowie mówią, że przynosimy do lasu tylko ostrze zdolne narąbać drewna na opał. Przecież zgodzisz się, że skoro sytuacja wymaga nadzwyczajnych środków, to...

Powiadają, że pył leży na ziemi, a gwiazdy wiszą na niebie. Jedno z drugim się nie styka...

Powiadają, że może cień nie istnieje bez człowieka, ale człowiek nie umiera dlatego, że cień go opuszcza...

Przybywam wstawić się za moim gospodarzem, bo Ala, strzegąca ziemi, musi domagać się dla niego kary...

Nie pozwala bowiem, aby ktokolwiek skrzywdził ciężarną kobietę, czy byłby to człowiek, czy zwierzę...

Gdyż ziemia należy do niej, wielkiej matki rodzaju ludzkiego, największej ze wszystkich stworzeń, ustępującej miejsca tylko tobie, którego wielkości i natury nie pojmuje ani człowiek, ani duch...

Przybywam więc, bo bardzo się boję, że podniesie ona rękę na mojego gospodarza, znanego w tym wcieleniu jako Chinonso Solomon Olisa...

Dlatego właśnie śpieszę zdać świadectwo ze wszystkiego, co widziałem, i przekonać ciebie oraz tę wielką boginię, że jeśli stało się to, czego się obawiam, dopuścił się on tej strasznej zbrodni nieświadomie, omyłkowo...

Choć zrelacjonuję większość zdarzeń własnymi słowami, będzie to prawda, ponieważ on i ja jesteśmy jednym. Jego głos to mój głos. Przekazywać jego słowa, jakby nie były moje, to przekazywać własne, jakby wypowiedane przez kogoś innego...

Ty jesteś stwórcą wszechświata, panem czterech dni – Eke, Orię, Afor i Nkwo – które składają się na tydzień ludu Igbo...

To tobie prastarzy ojcowie nadali tyle imion i tytułów, że nie da się ich zliczyć: Chukwu, Egbunu, Oseburuwa,

Ezeuwa, Ebubedike, Gaganaogwu, Agujiegbe, Obasidinelu, Agbatta-Alumalu, Ijango-ijango, Okaaome, Akwaakwuru i wiele innych...

Staję przed tobą, śmiały jak język króla, aby przemówić w obronie mojego gospodarza, gdyż wiem, że mnie wysłuchasz...

# 1

## ***Kobieta na moście***

**CHUKWU, JEŚLI JEST SIĘ** duchem stróżem wysłanym pierwszy raz, żeby zamieszkać w gospodarzu, który przyjdzie na świat w Umuahii, mieście na ziemi wielkich ojców, to przede wszystkim zauważa się rozległość tego kraju. Gdy taki duch stróż zstępuje tam wraz z odrodzonym ciałem swojego nowego podopiecznego, wręcz zdumiewa go to, co się przed nim ukazuje. Nagle widzi bowiem, jakby uniosła się jakaś pierwotna zasłona, niekończącą się połąć zielonej roślinności. W miarę jak zbliża się do Umuahii, coraz bardziej urzeka go otoczenie tej ziemi: wzgórze, wielki gęsty las Ogbuti-ukwu, tak stary jak pierwszy człowiek, który w nim polował. Wczesnym ojcom mówiono, że można stamtąd zobaczyć ślady kosmicznej eksplozji, w której zrodził się świat, i że już na samym początku, kiedy dzielił się on na niebo, wodę, las i pole, las Ogbuti stał się krainą, i to wspaniałszą niż wszelkie poświęcone mu wiersze. Liście jego drzew noszą w sobie skrawek historii świata. Ale jeszcze bardziej zachwycają znajdujące się za tym sławionym wielkim lasem liczne akwenty, z których największym jest rzeka Imo z mnóstwem dopływów.

Imo wiję się wokół lasu, tworząc skomplikowaną sieć, dającą się porównać jedynie do ludzkich żył. Można na nią trafić w jednej części miasta, dzielącą je jak głębokie rozcięcie. Jeśli podąży się choćby przez krótki czas tą samą drogą, pojawia

się – jakby znikąd – za pagórkami albo olbrzymim wąwozem. Dalej, między udami dolin, znowu toczy swoje wody. Nawet jeżeli początkowo ją przeoczmy, musimy tylko w drodze do Umuahii minąć Bende, przebyć wioski Ngwa – i oto znowu ukaże swoje uwodzicielskie oblicze jakiś jej mały cichy dopływ. Imo zajmuje ważne miejsce w legendach tutejszego ludu, ponieważ w jego wszechświecie woda jest najważniejsza. Igbo wierzą, że wszystkie rzeki to matki, dlatego mogą dawać życie. Ta urodziła miasto Imo. Przez jego najbliższego sąsiada przepływa Niger, większa rzeka, która sama stanowi legendę. Dawno temu rzeka Niger w swoim niepowstrzymanym biegu wystąpiła z brzegów, natrafiła na Benue, inną rzekę, i to ich spotkanie na zawsze zmieniło historię ludu Igbo i wyrosłych nad nimi obiema cywilizacji.

Egbunu, historia, z powodu której przybywam tej nocy do twojej wspaniałej siedziby, zaczęła się nad rzeką Imo przed prawie dziesięcioma laty. Mój gospodarz, jak to miał w zwyczaju, przyjechał rankiem do Enugu, żeby uzupełnić swoje stado kur. Poprzedniej nocy w mieście padało i woda była wszędzie – spływała z dachów zabudowań, stała w kałużach na drogach i pokrywała liście drzew, kapiąc z kolistych pajęczyn – a wilgoć widziało się także na twarzach i ubraniach ludzi. Szedł na rynek w dobrym humorze, z podwiniętymi nad kostki nogawkami spodni, żeby nie pobrudzić ich błotem, gdy tak wędrował od straganu do straganu, od budy do budy. Na placu było pełno ludzi, jak zwykle, nawet w czasach wielkich ojców, kiedy targowisko stanowiło centrum wszystkiego. To tam wymieniano towary, świętowano i prowadzono negocjacje między wioskami. Na całej ziemi ojców często właśnie przy targowiskach wznoszono świątynie Ali, wielkiej matki. Wierzono bowiem, że targ jest jednym z tych zgromadzeń ludzkich, do których ściągają również bezdomne duchy: *akaliogoli*, *amosu* i różne wędrowne bezcielesne istoty, często oszukańcze. Ponieważ na ziemi duch bez gospodarza jest niczym. Żeby wywierać jakikolwiek wpływ

na bieg rzeczy, musi zamieszkiwać ciało. Właśnie dlatego te stwory stale rozglądają się za schronieniem i są nienasycone w poszukiwaniu cielesności. Należy ich unikać za wszelką cenę. Widziałem kiedyś, jak taka istota w desperacji zajęła ciało zdechłego psa. Jakimiś magicznymi sztuczkami zdołała przywrócić ścierwo do życia i skłonić je do uczynienia kilku kroków; zaraz potem opuściła jednak psisko, żeby ponownie dokonało żywota w trawie. Był to przerażający widok. Dlatego stanowczo odradza się *chi* opuszczać w takim miejscu ciało swojego gospodarza czy też za bardzo się od niego oddalać, gdy ten śpi albo jest nieprzytomny. Niektóre z tych bezcielesnych stworzeń, zwłaszcza złych duchów, czasami nawet próbują wypędzić obecne *chi* albo zastąpić to, które udało się na naradę w sprawie swojego gospodarza. Dlatego właśnie przestrzegasz nas, Chukwu, przed takimi wyprawami, zwłaszcza nocną porą! Bo kiedy obcy duch wstąpi w jakąś osobę, trudno go wygnać! Stąd biorą się umysłowo chorzy, epileptycy, ludzie żywiący straszne namiętności, zabójcy własnych rodziców i innych ludzi! *Chi* tych, których opanowały dziwne duchy, stały się bezdomne, skazane na podążanie za swymi gospodarzami, błaganie intruzów albo negocjowanie z nimi – często zresztą bezowocne.

Po powrocie do swojej furgonetki mój gospodarz zapisał w dużym notesie z liniowanym papierem, że kupił osiem dorosłych kur – dwa koguty i sześć kokoszek – worek prosa, pół worka karmy dla drobiu i nylonową torebkę smażonych termitów. Za jednego koguta, białego jak wełna, z długim, zwężającym się ku końcowi grzebieniem, bujnie upierzonego, zapłacił dwa razy więcej, niż zwykle dawano za kurczęta. Gdy go brał, wzrok zmąciły mu łzy, tak że przez chwilę sprzedawca, a nawet sam ptak wydawali mu się drgającym w powietrzu złudzeniem. Sprzedawca przyglądał się chłopakowi jakby zdumiony, może zastanawiając się, dlaczego tak poruszył go widok koguta. Nie wiedział, że mój gospodarz to człowiek podlegający emocjom i instynktowi. I że kupił jednego koguta za cenę dwóch, bo był



on niezwykle podobny do gąsiątka, które miał w dzieciństwie, przed wieloma laty, i bardzo kochał – gąsiątka, które odmieniło jego życie.

Ebubedike, nabywszy cennego białego koguta, mój gospodarz z radością ruszył w drogę powrotną do Umuahii. Dobrego humoru nie stracił nawet wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że spędził w Enugu więcej czasu, niż zamierzał, a rankiem nie nakarmił swojego stada, żeby spokojnie dotrwało do końca dnia. Nie przejął się myślą, że ptaki wdadzą się w buntownicze, gniewne gdakania i piania, co robiły nagminnie, kiedy były głodne, czyniąc hałas, na który uskarżali się nawet dalsi sąsiedzi. Tego dnia, w przeciwieństwie do większości innych, za każdym razem, gdy przejeżdżał przez policyjne punkty kontrolne, bez ociągania się płacił funkcjonariuszom. Nie protestował, nie mówił, że nie ma pieniędzy, jak to mu się zdarzało, i to często, w przeszłości. Wyciągał przez okno samochodu rękę z plikiem banknotów, już podjeżdżając do posterunków, przed którymi kładziono na drodze kłody z wystającymi gwoździemi, aby kierowcy musieli się zatrzymywać.

**GAGANAOGWU, MÓJ GOSPODARZ DŁUGO** jechał po wiejskich drogach biegnących przez wioski, pomiędzy tumulusami i kurhanami pradawnych ojców, pośród żyznych pól i gęstych krzewów, w miarę jak powoli ciemniało niebo. Za przednią szybą samochodu przelatywały owady, rozbijając się o nią jak miniaturowe owoce, aż pokryła się plamkami mazi. Dwa razy musiał się zatrzymywać i wycierać ją szmatą. Ale kiedy znowu ruszał, owady uderzały o szybę ze wznowioną siłą. Gdy wreszcie dotarł do granicy Umuahii, dzień miał się ku schyłkowi i napis na tablicy przytwierdzonej do rdzewiejącej żerdzi, **WITAJCIE W ABII, PAŃSTWIE SAMEGO BOGA**, był już ledwie widoczny. Ponieważ chłopak od rana nic nie jadł, aż go ścisnęło w żołądku. Zwolnił niedaleko mostu na rzece Amatu – dopływie wielkiej

Imo – i zaparkował za półciężarówką z platformą zakrytą brezentem.

Kiedy zgasił silnik, usłyszał na tyle swojej furgonetki tupot kurzych stóp. Wysiadł z samochodu i przekroczył rów odpływowy, okalający miasto. Ruszył w stronę placu, gdzie uliczni handlarze siedzieli na stołkach przy stolikach pod płóciennymi daszkami, w świetle latarni i świec.

Gdy wrócił do furgonetki z kisią bananów, papają i siatką mandarynek, zapadł już wschodni mrok i szosa przed nim i za nim niknęła pod kocem ciemności. Włączył reflektory i przy wtórze dobiegającego z tyłu gdańskania skierował się znowu na główną drogę. Jedząc banany, dojechał do mostu na Amatu. Słyszał, że nie dalej niż w poprzednim tygodniu – w tej najbardziej deszczowej porze – rzeka wylała, tak że utopiła się kobieta z dzieckiem. Zazwyczaj nie wierzył w plotki o nieszczęściach, krążące po mieście jak podrobiona moneta, jednak ta historia została mu w głowie z powodu, którego nawet ja, jego *chi*, nie mogłem zrozumieć. Ledwie dotarł do połowy mostu, myśląc o tej matce i dziecku, gdy zobaczył stojący przy barierce samochód z jednymi otwartymi drzwiami. Z początku widział tylko sam wóz, jego ciemne wnętrze i światelko odbijające się w szybie po stronie kierowcy. Kiedy jednak lepiej się przyjrzał, dostrzegł przerażający obraz: jakaś kobieta próbowała skoczyć z mostu.

Agujiegbe, jakie to dziwne: mój gospodarz od kilku dni rozmyślał o tamtej utopionej kobiecie, gdy nagle ujrzał przed sobą inną, która wspięła się już na barierkę i stała pochylona, jakby zamierzała rzucić się do rzeki. Wstrząśnięty tym widokiem, zatrzymał furgonetkę, wyskoczył z niej i pobiegł w ciemność, krzycząc:

– Nie, nie, nie rób tego! Proszę, nie! Nie rób tego. *Biko, eme na!*

Wyglądało na to, że ta niespodziewana ingerencja zdezorientowała kobietę; obejrzała się szybko, zachwiała się na nogach i z widocznym przestachem upadła plecami na ziemię.

Pospieszył, żeby pomóc jej wstać.

– Nie, mamusku, nie, proszę! – powiedział i pochylił się nad nią.

– Zostaw mnie! – zawołała kobieta. – Zostaw mnie w spokoju. Odejdź!

Egbunu, on, przestraszony, czym prędzej cofnął się kilka kroków, podnosząc ręce w dziwnym geście, jakim dzieci dawnych ojców sygnalizowały poddanie się, i odparł:

– Już sobie idę, już idę!

Odwrócił się od niej, ale nie mógł zdobyć się na to, aby odejść. Bał się, co kobieta zrobi po jego odejściu, bo – sam będąc człowiekiem, który zaznał smutku – wiedział, że rozpacz to choroba duszy, gotowa zniszczyć już i tak trudne życie. Znowu więc stanął przed nią i sztywno wyciągnął do niej ręce, tak że wyglądały jak dwa kije.

– Nie rób tego, mamusku. Nic nie może być powodem, żeby tak umierać. Nic, mamusku.

Kobieta powoli dźwignęła się z ziemi – najpierw uklękła, a potem wstała na nogi.

– Zostaw mnie. Zostaw – powtarzała, nie spuszczać z niego oczu.

W nikłym świetle reflektorów swojego samochodu dostrzegł wreszcie jej twarz. Wyrażała strach. Oczy były trochę podpuchnięte, pewnie od wielogodzinnego płaczu. Od razu się zorientował, że ma przed sobą głęboko zranioną istotę. Bo każdy, kto sam doznał cierpień albo widział ból innych, potrafi zauważyć jego ślady na czyjeś twarzy, nawet z daleka. Gdy kobieta, cała drżąc, stała w świetle, zaczął się zastanawiać, kogo mogła stracić. Może jedno z rodziców? Męża? Dziecko?

– Zostawię cię – obiecał, znowu podnosząc ręce. – Pójdę sobie. Przysięgam na Boga, który mnie stworzył.

Odwrócił się i ruszył do samochodu, ale przy bijącym od niej ogromie rozpaczony już samo ulotne szuranie własnych stóp, gdy się oddalał, wydawało mu się czymś bardzo złym. Zatrzymał się

więc, czując ściskanie w brzuchu i wręcz słyszalny niepokój w sercu. Znowu się ku niej zwrócił.

– Ale, mamusku... – odezwał się. – Nie skoczysz, dobrze?

Pospiesznie poszedł na tył furgonetki i otworzył jedną z klutek, a następnie, patrząc przez szybę i szepcząc do siebie, że kobieta nie może się utopić, złapał za skrzydła dwie kury, każdą z nich w jedną rękę, wyjął je i ruszył z powrotem.

Zastał kobietę w tym samym miejscu, w którym ją zostawił: patrzyła w kierunku jego furgonetki jak urzeczona. Chociaż *chi* nie umie przewidzieć przyszłości i nie zdaje sobie w pełni sprawy, co zrobi jego gospodarz – tylko ty, Chukwu, i największe bóstwa macie dar przewidywania i możecie nim obdarzać pewnych *dibia* – przeczułem to. Ponieważ jednak ostrzegasz nas, duchy stróże, żebyśmy nie mieszały się w sprawy naszych gospodarzy i pozwalały każdemu z nich postępować zgodnie z jego własną wolą i być człowiekiem, nie próbowałem go powstrzymać. Przypomniałem mu natomiast, że kocha ptaki, że jego życie odmieniło się dzięki przyjaźni z tymi skrzydlatymi stworzeniami. Przywołałem mu przed oczy wzruszający obraz gąsiątka, które kiedyś miał. Ale niewiele to dało, bo w takich chwilach, kiedy człowiek ulega emocjom, staje się Egbenchi, nieposłuszną kanią, która nie reaguje na polecenia ani nawet nie rozumie, czego się od niej żąda. Leci tam, gdzie jej się podoba, i robi, co chce.

– Nie ma, nie ma takiego powodu, żeby rzucać się do rzeki na pewną śmierć. – Podniósł kury nad głowę. – Oto co się stanie, jeśli się tam wpadnie. Człowiek zginie i nikt go więcej nie zobaczy.

Ruszył szybko ku barierze, trzymając ciężkie kury, które gdakały przeraźliwie i miały się w jego rękach.

– Tak jak te ptaki – dodał i rzucił je z mostu w ciemność.

Przez moment patrzył, jak zmagają się z prądem powietrznym, gorączkowo trzepoczą skrzydłami na wietrze i rozpaczliwie walczą o życie, ale daremnie. Na jego dłoni wylądowało pióro,

lecz strącił je tak pospiesznie i z taką gwałtownością, że aż go to zabolalo. Potem, gdy kury wpadły do rzeki, usłyszał odgłosy zasysania, pluski i próżną szamotaninę w wodzie. Można było odnieść wrażenie, że kobieta także się temu przysłuchuje, i poczuł, że to wspólne słuchanie łączy ich jakąś trudną do opisania więzią – jakby oboje stali się jedynymi świadkami makabrycznej sekretnej zbrodni. Stał bez ruchu, dopóki ona nie wciągnęła głośno powietrza. Spojrzał na nią, potem znowu na wodę, niewidoczną w ciemnościach, i ponownie na nieznajomą.

– Widzisz? – Wskazał ku rzece, podczas gdy wiatr świszczal jak oddech kaszlącego człowieka z wysuszonym po nocy gardłem. – Tak się dzieje, gdy się tam wpadnie.

Nadjechał samochód, pierwszy od zjawienia się mojego gospodarza na moście, i zwolnił niepewnie. Zatrzymał się kilka kroków od nich i zatrąbił. Później kierowca powiedział coś, czego mój gospodarz nie usłyszał, było to jednak w języku białego człowieka, więc ja, *chi*, zrozumiałem.

– Mam nadzieję, że nie jesteście jakimiś łobuzami, *oh!*

Po czym odjechał, dodając gazu.

– Widzisz – powtórzył mój gospodarz.

Gdy słowa te wyszły z jego ust, wyraźnie osowiał, bo ludzie, zrobiwszy coś niezwykłego, często zamykają się w sobie. Nagle ogarnęło go pragnienie, żeby stamtąd odjechać, i było tak gwałtowne, że o niczym innym nie myślał. Jako jego *chi* utwierdziłem go w przekonaniu, że uczynił wystarczająco dużo i najlepiej będzie, jeśli już sobie pójdzie. Pospiesznie wrócił więc do furgonetki i przy dźwiękach dochodzącego z tyłu buntowniczego gđakania uruchomił silnik. W lusterku wstecznym pojawił się, niczym wywołany w świetle duch, obraz kobiety na moście, lecz mój gospodarz już się nie zatrzymał ani nie obejrzał.

## 2

### **Samotność**

**AGUJIEGBE, WIELCY OJCOWIE MÓWIĄ**, że aby dotrzeć na szczyt góry, trzeba wyruszyć od jej podnóża. Z czasem zrozumiałem, że życie człowieka to wyścig od jednego końca do drugiego. I że późniejsze zdarzenie jest następstwem wcześniejszego. Ludzie pytają „Dlaczego?“, kiedy zdarza się coś, co ich zaskakuje. Przeważnie jednak, jeśli dobrze poszukać, da się odkryć nawet najgłębsze tajemnice i pobudki kryjące się w ich sercach. A więc, Chukwu, skoro mam orędownać za moim gospodarzem, to żeby zrozumieć jego motywę, powinniśmy cofnąć się do trudnych lat, które poprzedziły tamtą noc na moście.

Jego ojciec zmarł zaledwie dziewięć miesięcy wcześniej, co pogrążyło go w bólu, jakiego jeszcze nie zaznał. Może byłoby inaczej, gdyby miał kogoś, jak wtedy, gdy stracił matkę, potem gąsiątko, a później kiedy z domu odeszła jego siostra. Ale po śmierci ojca nie pozostał mu już nikt. Siostra, Nkiru, uciekła ze starszym mężczyzną i nękana wyrzutami sumienia z powodu śmierci ojca, oddaliła się od chłopaka jeszcze bardziej. Może uczyniła to z obawy, że będzie ją obwiniał o tę tragedię. Dni, które potem nadeszły, były bardzo ponure. *Agwu* cierpienia nawiedzało go dniem i nocą, czyniąc z niego pusty dom, w którym buszowały niczym gryzonie bolesne wspomnienia związane z rodziną. Gdy budził się rankiem, bardzo często czuł zapach potraw, które gotowała matka. A czasami w ciągu dnia

przed oczami jak żywa stawała mu siostra, jakby wcześniej jedynie chowała się za zaciągniętą zasłoną. Nocami tak silnie odczuwał obecność ojca, że nieraz miał pewność, iż jest on w domu. „Tato! Tato!”, wołał w mroku, obracając się gorączkowo. Ale w odpowiedzi słyszał tylko ciszę, ciszę tak dotkliwą, że często wracał do rzeczywistości.

Chodził po świecie chwiejnym krokiem, jakby balansował na linie. Przestał widzieć, co się dzieje dookoła. Nic nie przynosiło mu pociechy, nawet muzyka Olivera De Coque’a, którą przez większość wieczorów czy za dnia, pracując na podwórku, odtwarzał z magnetofonu kasetowego. Jego cierpienie odbijało się nawet na kurach. Zajmował się nimi mniej troskliwie, zwykle karmił je tylko raz dziennie, a czasami nawet i o tym zapominał. W tamtym czasie nieraz budziło go ich głośne gdakanie i dopiero wtedy, zmuszony, szedł nasypać im karmy. Z roztargnieniem opiekował się swoim ptactwem, które wielokrotnie padało ofiarą jastrzębi i kani.

Co wówczas jadł? Żywił się produktami swojego małego gospodarstwa, skrawka ziemi rozciągającego się od domu do drogi dla pojazdów zmechanizowanych; zbierał z niego pomidory, okrę i paprykę. Kukurydza, którą zasadził jego ojciec, wędła i schła, aż całkiem zmarniała, i pozwalał, żeby zgniła karmiły się wszelkiego rodzaju owady, dopóki nie przeniosły się na inne uprawy. Kiedy to, co pozostało z gospodarstwa, przestało zaspokajać jego potrzeby, zaczął robić zakupy przy pobliskim dużym rondzie, jak najrzadziej otwierając usta. I wkrótce stał się milczkiem, nie odzywał się przez całe dni – nawet do swojego stadka, do którego wcześniej często zwracał się jak do towarzyszy. W budce z artykułami spożywczymi kupował cebulę i mleko i czasami jadał w barze Madam Comfort po drugiej stronie drogi. Tam też niewiele mówił, tylko przeważnie obserwował z tłumionym lękiem ludzi dookoła, jakby, pozornie łagodni, byli wszyscy zdradzieckimi duchami, które mogą dostać się do jego świata przez tylne drzwi.

Niebawem, Oseburuwa, jak to się często zdarza, popadł w taki smutek, że nie przyjmował żadnej pomocy. Nawet Elochukwu, jedyny przyjaciel, jaki pozostał mu z czasów szkolnych, nie potrafił biedaka pocieszyć. Mój gospodarz go unikał, więc ten pewnego dnia zajechał motocyklem przed jego dom i zapukał do drzwi, wołając go, żeby sprawdzić, czy jest w środku. On jednak udawał, że go nie ma. Elochukwu, być może podejrzewając, że przyjaciel się ukrywa, zatelefonował do niego. Mój gospodarz nie odbierał, aż w końcu Elochukwu doszedł chyba do wniosku, że rzeczywiście go nie zastał, i dał za wygraną. Mój gospodarz odrzucał też wszystkie propozycje stryja Bonny'ego, jedynego brata ojca, żeby przyjechał do Aby i tam zamieszkał. A kiedy starszy człowiek nalegał, on wyłączył telefon i nie włączał go przez następne dwa miesiące, aż któregoś dnia obudził go warkot samochodu stryja, który sam do niego przyjechał.

Stryj przybył zagniewany, ale widok bratanka, załamanego, wychudzonego i słabego jak baba, bardzo go poruszył. Aż do łez. Tamtego dnia mój gospodarz, zobaczywszy, że ten starszy człowiek, którego nie widział od lat, nad nim płacze, jakby się otrząsnął. Zdał sobie sprawę, że w jego życiu zrobiła się dziura. I wieczorem, gdy stryj chrapał wyciągnięty na jednej z kanap w salonie, chłopak odkrył, że ta dziura powstała po śmierci matki. To prawda, Gaganaogwu. Jako jego *chi* towarzyszyłem mu, gdy zobaczył, że wkrótce po tym, jak urodziła jego siostrę, wynoszą ją martwą ze szpitala. Było to dwadzieścia dwa lata temu, w roku, który biały człowiek określa jako 1991. Miał wtedy dziewięć lat i był zbyt młody, żeby pogodzić się z tym, co przyniosło życie. Znany mu dotąd świat nagle się tej nocy poplątał i za nic nie dawał się rozsupłać. Oddanie ojca, podróże do Lagosu, wycieczki do zoo w Ibadanie i parków rozrywki w Port Harcourt, a nawet gry na konsolach wideo – nic nie pomagało. Ojciec także nie wyleczył pękniętego serca.

Pod koniec roku, mniej więcej wtedy, kiedy kosmiczny pająk



Eluigwe trzynasty raz zasnuwa wielką pajęczyną księżyc, ojciec, z coraz większą desperacją pragnąc przywrócić chłopcu pogodę ducha, zabrał go do swojej wsi. Pamiętał, że synka urzekają niegdyś jego opowieści o tym, jak jako dziecko podczas wojny polował na dzikie gęsi w lesie Ogbuti. Zabrał go więc do lasu na łowy, o czym opowiem w stosownym czasie, Chukwu. To tam mój gospodarz złapał gąsiątka, które zmieniło jego życie.

Stryj, widząc, w jakim stanie jest chłopak, został u niego nie jeden dzień, jak planował, ale cztery. Starszy człowiek wysprzątał mu dom, zajął się jego stadem kur i zawiózł go do Enugu na zakupy, żeby uzupełnić zapasy. W tych dniach, mimo swojego jąkania się, wytrwale przemawiał mu do rozumu. Większość z tego, co mówił, dotyczyła zagrożeń, jakie niesie ze sobą samotne życie, bez kobiety. I jego słowa nie były pozbawione racji, ponieważ obracał się wśród ludzi dostatecznie długo, aby wiedzieć, że samotność to zły pies, który szczeka bez końca w długą noc bólu. Widywałem to wielokrotnie.

– Nonso, jeśli s-s-sam nie z-z-znajdziesz sobie żony – zapowiedział tego ranka, gdy miał wyjechać – t-twoja ciotka i ja b-b-będziemy musieli to za ciebie z-zrobić. – Pokręcił głową. – Bo nie m-możesz tak żyć.

Argumenty stryja były tak przekonujące, że po jego wyjeździe mój gospodarz zaczął myśleć o nowych sprawach. Jakby w jakichś sekretnych miejscach były wysiadywane jaja jego ozdrowienia, stwierdził, że tęskni za czymś, czego nie ma od dłuższego czasu: za kobiecym ciepłem. To pragnienie odwróciło jego uwagę od straty, którą poniósł. Zaczął częściej wychodzić z domu, kręcić się w pobliżu żeńskiego państwowego college'u. Początkowo obserwował dziewczyny, siedząc w przydrożnych jadłodajniach. Z niespokojną ciekawością przyglądał się ich zaplecionym włosom, piersiom i innym częściom ich ciał. Gdy jego zainteresowanie wzrosło, zagadnął jedną z dziewcząt, ale go odprawiła. Mój gospodarz, który z powodu okoliczności stracił pewność siebie, uznał, że drugi raz nie będzie próbował.

Podsunałem mu myśl, że trudno zdobyć kobietę od razu. Ale nie chciał mnie słuchać. Kilka dni po tym, jak spotkał się z odprawą, wywiedział się, gdzie jest burdel.

Chukwu, kobieta, która wpuściła go do łóżka, była dwa razy od niego starsza. Włosy miała rozpuszczone, takie, jakie nosiły kiedyś wielkie matki, a twarz obsypaną jakimś proszkiem, przydającym jej delikatności, która mogła skusić mężczyznę. Z rysów przypominała Ulomę Nezeanyę, tę, która dwieście czterdzieści sześć lat temu miała zostać poślubiona staremu gospodarzowi, Arinze Ihememu, ale zniknęła przed uroczystością niesienia wina, porwana przez łowców niewolników z plemienia Aro.

Kobieta rozebrała się przed nim i odsłoniła ponętne, dorodne ciało. Jednak kiedy zaproponowała, żeby na nią wszedł, nie mógł tego zrobić. To było, Egbunu, niezwykle zdarzenie, czegoś podobnego jeszcze nie widziałem. Bo w chwili, gdy pożądanie mojego gospodarza miało zostać zaspokojone, ogromny wzwód, z którym chodził od wielu dni, zupełnie mu przeszedł. Nagle bowiem chłopak zdał sobie sprawę, że nie ma wprawy, nie zna się na sztuce miłości. Potem przed oczami stanęły mu różne obrazy – matki w szpitalnym łóżku, gąsiątka niepewnie siedzącego na płocie i wreszcie ojca w stężeniu pośmiertnym. Zadrzał, powoli wstał z łóżka i przeprosił kobietę za fatygę.

– Co? Chce stracić swoje pieniądze? – zapytała.

Przytaknął. Wyprostował się i sięgnął po ubranie.

– Ja nie rozumiem, jego fiut jeszcze w gorze, niech popatrzy.

– *Biko, ka'm laa* – odparł.

– Nie zna po angielsku? Niech mówi w pidżyn, bo ja w Ibo ani w ząb – odpowiedziała.

– Dobrze, to ja już pójdę.

– *Eh, na wa oh*. Ja nigdy nie widzieć czegoś takiego, *oh*. Mają się twoje pieniądze zmarnować?

Wstała z łóżka i zaświeciła żarówkę. Jej bujna kobiecość ukazała się w pełnej krasie i na ten widok aż się cofnęła.

– Nie ma się co bać, nie ma się co bać, odpręż się, eh?

Stał nieruchomo. Jego dłonie się rozwarły, gdy kobieta wzięła z nich jego ubranie i odłożyła z powrotem na krzesło. Potem uklękła na podłodze i jedną ręką ujęła go za członek, a drugą chwyciła za pośladki. Pod wpływem tego doznania wzdrygnął się i zadrżał. To ją rozśmieszyło.

– Ile lat ma?

– Trzydzieści... no tak, trzydzieści.

– *Abeg* mówi prawdę, ile? – Ścisnęła czubek jego penisa.

Mój gospodarz wciągnął powietrze, żeby odpowiedzieć, ale w tym momencie wzięła jego członek do ust.

– Dwadzieścia cztery – wymamrotał gorączkowo.

Próbował się cofnąć, ale kobieta objęła go w pasie i przytrzymała. Ssała mocno, mlaskając, a on krzyczał, zgrzytał zębami i gadał bez sensu. Ujrzał w ciemności opalizujące światło i poczuł zimno w środku. Doświadczał coraz to nowych wrażeń, aż w końcu zawołał:

– Więcej nie wytrzymam, już nie wytrzymam!

Ona się odsunęła i nasienie ledwie ominęło jej twarz. Mój gospodarz opadł na krzesło, pełen obaw, że zemdleje. Opuścił burdel wstrząśnięty i wyczerpany, zabierając ze sobą to poruszające doświadczenie jak wór ziarna.

Cztery dni później spotkał tę nieznaną kobietę na moście.

**EZEUWA, TAMTEJ NOCY ZJECHAŁ** z mostu, nie bardzo mając pojęcie, co właśnie zrobił, wiedział tylko, że było to coś niezwykłego. Wracał do domu z poczuciem spełnienia, jakiego nie doznał od długiego czasu. Całkiem spokojny, wyładował nowe kury, już tylko sześć, i świecąc sobie telefonem, zaniósł je w klatkach na podwórko. Wypakował worek prosa i pozostałe rzeczy, które kupił w Enugu. Gdy skończył, nagle coś sobie uświadomił.

– Chukwu! – wykrzyknął i szybko poszedł do salonu.

Chwycił lampę na baterie i przycisnął znajdujący się z boku

włącznik. Zapaliły się trzy fluorescencyjne żarówki, ale rzucały słabe światło. Chwilę manewrował przy włączniku, żeby je podkreślić, lecz daremnie. Pochylił się, spojrzął na lampę i zobaczył, że jedna z żarówek się przepaliła – szkło pokryło się sadzą. Mimo to wybiegł z lampą na podwórko i gdy jej słaby blask oświetlił klatkę, zawołał:

– Chukwu, *oh!* Chukwu!

Zorientował się bowiem, że jednym z ptaków, które rzucił do rzeki, był biały jak wełna kogut.

Akataka, to wśród ludzi powszechne zjawisko – próba zmiany przeszłości, cofnięcia tego, co się wydarzyło. Ale nigdy, nigdy się to nie udaje. Byłem czegoś takiego świadkiem wiele razy. Jak inni jego gatunku, mój gospodarz popędził do furgonetki, na którą tymczasem wdrapał się czarny kot i siedział, rozglądając się dookoła jak strażnik. Chłopak go przepędził. Zwierzak głośno miauknął i uciekł w pobliskie krzaki. Mój gospodarz wszedł do samochodu i ruszył z powrotem w ciemną noc. Ruch był nieduży, raz tylko wielka półciężarówka zagroziła mu drogę, wjeżdżając na stację benzynową. Kiedy dotarł do mostu, kobiety, którą wcześniej tam widział, nie było – podobnie jak jej samochodu. Uznał, że nie rzuciła się do rzeki, bo gdyby tak się stało, samochód wciąż by stał. Jednak w tym momencie nie o nią mu chodziło. Zbiegł nad rzekę. Jego uszy wypełniły się dźwiękami nocy, a latarka pochłaniała ciemność jak wąż boa. Gdy zbliżał się do brzegu, czuł, że w powietrzu wokół niego skupiają się owady i spowijają mu twarz jakby siatką. Nerwowo zamachał rękami, żeby je odpędzić. Latarka podążyła za ruchem jego dłoni i snop jej światła padł kilkakrotnie na wodę, a potem przesunął się parę metrów po przeciwległym brzegu. Mój gospodarz przeszedł wzrokiem oświetlany obszar, ale zobaczył jedynie pusty brzeg oraz leżące na nim szmaty i inne śmieci. Wszedł pod most i kiedy tylko usłyszał jakiś odgłos, odwracał się z bijącym szybciej sercem. Gdy wkroczył głębiej, w blasku latarki ukazał mu się koszyk. Rafia, z której był upleciony, przerzedziła

się, tak że zostały z niej długie pokręcone włókna. Czym prędzej zbliżył się do niego, w nadziei że któraś z kur weszła do niego i uratowała się.

Nic w koszyku nie znalazł, więc skierował światło na nurt pod mostem i na najdalsze rejony rzeki, tak daleko, jak tylko sięgały promienie latarki, ale po kurach nie było śladu. Przypomniał sobie moment, kiedy wrzucił je do wody: jak trzepotały skrzydłami, jak rozpaczliwie próbowały zatrzymać się na którymś z elementów konstrukcyjnych mostu i jak im się to nie udawało. Już na początku, gdy zaczął hodować drób, przekonał się, że kury domowe są najsłabsze ze wszystkich zwierząt. Prawie nie potrafiły się obronić czy ująć przed niebezpieczeństwem, ani dużym, ani małym. I właśnie przez tę słabość jeszcze bardziej je polubił. Początkowo ze względu na gąsiątko kochał wszystkie ptaki, ale potem, kiedy zobaczył, jak brutalnie jastrzęb zaatakował kurę, darzył miłością już tylko te domowe.

Przeczesawszy gruby koc nocy, jakby poszukiwał wszy w gęstym futrze zwierzęcia, nieszczęśliwy wrócił do domu. Miał wrażenie, że to, co zrobił, było dziełem samych jego rąk, nie umysłu. I z tego powodu cierpiał najbardziej. W sercu kogoś, kto się dowiaduje, że niechący spowodował krzywdę, często nagle nastaje ciemność. Po takim odkryciu jego dusza jakby kuli się w poczuciu klęski, poddaje się wyrzutom sumienia i wstydu i w tym poddaniu rani samą siebie. Raz zraniony człowiek próbuje ozdrowieć poprzez akty zadośćuczynienia. Jeśli zabrudził czyjąś tkaninę, może udać się do jej właściciela z nowym materiałem i powiedzieć: „Masz, bracie, weź go w zamian za tamten”. Jeśli coś zepsuł, może postarać się zreperować to albo odkupić. Ale jeśli rozbił coś, czego nie da się skleić, albo zniszczył coś, czego nie da się naprawić, i nic nie można na to poradzić, pozostaje mu tylko poddać się uspokajającej magii wyrzutów sumienia. To doprawdy zadziwiająca!

Ezeuwa, gdy mój gospodarz usiłował zrozumieć coś, co

przekraczało jego zdolność pojmowania, często ośmielałem się przyjść mu z pomocą. Zanim więc tamtej nocy położył się spać, zasugerowałem mu, że powinien wrócić nad rzekę rankiem: może zdoła jeszcze odnaleźć swoje kury. On jednak zignorował moją radę. Sądził, że to jego własny pomysł, człowiek bowiem nie umie odróżnić tego, co włożył mu do głowy duch – nawet jeśli jest to jego *chi* – od podpowiedzi własnego rozumu.

Następnego dnia podsuwałem mu tę myśl jeszcze wiele razy, ale wtedy odzywał się głos w jego głowie i mówił mu, że za późno, kury się potopiły i już. Na co ja odpowiadałem, że przecież nie ma pewności. Wówczas głos umysłu się sprzeciwiał: „Przepadło, nic już nie da się zrobić”. Kiedy więc nadszedł wieczór i widziałem, że mój gospodarz nigdzie nie pojedzie, uczyniłem coś, co ty, Oseburuwa, stanowczo odradzasz duchom stróżom, chyba że sytuacja jest nadzwyczajna. Opuściłem jego ciało, gdy był świadomy. Postąpiłem tak, bo wiedziałem, że jako duch stróż mam obowiązek nie tylko służyć mojemu gospodarzowi za przewodnika, ale także mu pomagać, gdy coś przekracza jego możliwości, i pełnić funkcję świadka. Uważam się bowiem za jego przedstawiciela w krainie duchów. Przebywam w nim i obserwuję każdy jego gest, każdy ruch, każdy krok. Ciało mojego gospodarza stanowi dla mnie ekran, na którym widać całe jego życie. Ponieważ kiedy w nim tkwię, nie jestem niczym innym jak tylko pustą glinianą skorupą wypełnioną jego życiem i z biegiem tego życia twardniejącą. Obserwuję je stamtąd jako świadek, a potem o nim świadczę. Jednak *chi* ma ograniczone możliwości, gdy przebywa w ciele swojego gospodarza. Będąc tam, widzi i słyszy niewiele z tego, co dzieje się w królestwie rzeczy nadprzyrodzonych. Natomiast gdy je opuszcza, może poznać sprawy wykraczające poza królestwo człowieka.

Gdy wyszedłem z ciała mojego gospodarza, uderzył mnie zgiełk świata duchowego, ogłuszająca symfonia, która przestraszyłaby nawet najodważniejszych z ludzi. Składały się na nią rozmaite dźwięki – płacz, krzyki, wycie, rumor i inne.

Dziwne, że choć świat istot ludzkich i świat duchów oddziela granica cienka jak liść, to dopóki nie opuści się ciała gospodarza, nie słyszy się nawet najcichszego z tych odgłosów. Dopiero co stworzone *chi*, które pierwszy raz zstępuje na ziemię, bywa przytłoczone tym hałasem i może się tak przerazić, że wraca do cichej twierdzy, jaką jest jego gospodarz. Zdarzyło mi się to podczas pierwszego pobytu na ziemi, podobnie jak wielu innym duchom stróżom, które miałem okazję poznać, odpoczywając w grotach w Ogbunike, Ngodo, Ezi-ofi, a nawet w stożkowatych kurhanach Abai. To szczególnie przykre nocą, w porze duchów.

Za każdym razem, gdy opuszczam mojego gospodarza, kiedy jest w stanie świadomości, oddalam się szybko i na krótko, żeby pod moją nieobecność nic mu się nie stało i żeby sam nie uczynił czegoś, z czego nie mógłbym później zdać relacji. Ponieważ jednak podróż dokądkolwiek w bezcielesnej postaci zupełnie nie przypomina tej, którą odbywa się w ludzkim ciele, przedarcie się przez tłoczną halę Benmuo, gdzie wszelkie duchy wiją się jak niewidzialne robaki w puszcze, zajęło mi trochę czasu. Mój pośpiech przyniósł efekt i znalazłem się nad rzeką w ciągu zaledwie siedmiu mgnień oka, ale niczego istotnego nie zobaczyłem. Wróciłem tam jeszcze następnego dnia i przy trzeciej wizycie dostrzegłem brązową kurę, którą mój gospodarz zrzucił z mostu. Sztywna i wzdęta unosiła się na falach, z łapami w górze – była martwa. Woda przydała jej upierzeniu nieokreślonej szarości, a brzuch był łysy, jakby coś w rzece go podjadło. Szyja wydawała się dłuższa i bardziej pomarszczona, korpus był spuchnięty. Na jednym ze skrzydeł, które rozpląszczyło się na wodzie, przysiadł sęp i to patrzył na swoją zdobycz, to rozglądał się wokół. Białego jak wełna koguta nigdzie nie zauważyłem.

Ebubedike, w ciągu kolejnych wcieleń zrozumiałem, że cokolwiek przydarza się człowiekowi, miało już miejsce dużo wcześniej w jakimś podziemnym królestwie, i że nic we wszechświecie nie dzieje się samo z siebie. Światem

obraca bezdźwięczne koło pradawnej cierpliwości, przy którym wszystko czeka i w tym czekaniu ożywa. Nieszczęście spotykające jakiegoś człowieka od dawna się na niego zasadza – na środku ulicy, na szosie, na polu bitwy – aby dopaść go, gdy przyjdzie pora. Człowiek do niego zmierza, lecz kiedy nieszczęście go dotyka, czuje się zaskoczony i wstrząśnięty, jak wszyscy, którzy mu współczują, nawet jego *chi*. Tak naprawdę jednak umarł on dawno temu, tylko to, że nie żyje, jest jeszcze skryte za jedwabną zasłoną czasu, która w końcu się rozsunie i ukaze prawdę. Widziałem to nieraz.

Gdy chłopak wieczorem zasnął, wyszedłem z niego, żeby go pilnować, jak to często robię, bo mieszkańcy Benmuo zwykle są bardziej aktywni nocą, kiedy ludzie kładą się spać, niż za dnia. I stamtąd podsunąłem mu obraz kury i sępa, gdyż najłatwiej przekazać człowiekowi taką tajemniczą wizję za pośrednictwem snu – to niebezpieczna sfera, w którą *chi* musi wkraczać ostrożnie, z wielką uwagą, ponieważ jest łatwo dostępna dla wszelkich innych duchów. Żeby dostać się do świata marzeń sennych gospodarza, najpierw powinno wyskoczyć z jego ciała. Dzięki temu nie zostanie uznane przez obce duchy za *chi* kręcące się przy niezajętym miejscu.

Kiedy podsunąłem mu te obrazy przed oczy, poruszył się we śnie, podniósł dłoń i słabo zacisnął ją w pięść. Westchnąłem z ulgą, bo wiedziałem, że zrozumiał, co stało się z jego białym kogutem.

**GAGANAOGWU, W SMUTKU** z powodu utopienia kur mój gospodarz zupełnie zapomniał o kobiecie na moście. Potem jednak, w miarę jak smutek ustępował, zaczęło go nękać jej wspomnienie, które stopniowo wyparło wszystkie inne. Skupił się więc na nim i próbował przywołać jej obraz. Widział ją w nocy i jedyne, co dostrzegł, to że była średniego wzrostu i nie taka korpulentna jak ta prostytutka, Miss J. Miała na sobie jasną bluzkę i spódnicę.



I przypomniał sobie, że jej samochód to była toyota camry, podobna do tej, którą jeździł jego stryj. Potem myśli mojego gospodarza przeskoczyły, jak konik polny, od jej wyglądu do tego, co mogła zrobić, gdy odjechała z mostu. To nie dawało mu spokoju. Wyrzucał sobie, że tak szybko ją tam zostawił.

W następnych dniach troskliwie doglądał kur i uprawiał ogród, zajęty myślami o niej. A kiedy jechał do miasta, wypatrywał niebieskiej toyoty. Po kilku tygodniach zatęsknił za znajomą prostytutką. Ogarnęło go pożądanie, które niczym gwałtowna burza zawisło nad spalonym krajobrazem jego duszy. Wiedziony nim, pewnego wieczoru pojechał do burdelu, ale Miss J. miała klienta. Otoczyły go inne panie, z których jedna zaciągnęła go do wolnego pokoju. Była szczupła w talii i miała bliźnię na brzuchu. Przy niej poczuł się pewny siebie i spokojny, jakby brak doświadczenia i wynikający z niego lęk, towarzyszące jego ostatniemu spotkaniu z prostytutką, zostały brutalnie zatłuczone na śmierć. Poddał się kobiecie bez oporów i chociaż przeważnie wolę nie patrzeć, jak spółkują moi gospodarze, bo przeraźliwie przypomina to umieranie, wówczas zachowałem czujność, ponieważ był to jego pierwszy raz. Kiedy skończył, kobieta poklepała go po plecach i pochwaliła jego umiejętności.

Mimo to nadal ciągnęło go do Miss J., jej ciała, znajomych westchnień. Ze zdziwieniem zauważył, że choć z inną kobietą posunął się dalej, większej przyjemności zaznał z Miss J. Po trzech dniach ponownie wrócił więc do burdelu i ominął tę drugą prostytutkę, która przybiegła do niego ochoczo. Miss J. tym razem była wolna. Wprawdzie mgliście, ale przypomniała sobie mojego gospodarza i w milczeniu zaczęła go rozbierać. Zanim przystąpili do rzeczy, odebrała jeszcze telefon i powiedziała dzwoniącemu, żeby przyszedł za dwie godziny, a kiedy ten najwyraźniej zaprotestował, umówiła się z nim za półtorej godziny.

Gdy zaczęli, ze śmiechem nawiązała do poprzedniego razu.

– Oczy miał jak spodki, gdy mu wtedy zrobiłam dobrze, *ba?*

Kochał się z nią żywiolowo, wkładając w to całą duszę i dając z siebie wszystko. Kiedy jednak opadł przy niej na łóżko, rzuciła z siebie jego ramię i wstała.

- Miss J.! - zawołał niemal ze łzami.
- Czego jeszcze chce? - Zapięła stanik na piersiach.
- Kocham cię.

Egbunu, kobieta zatrzymała się, klasnęła w ręce i wybuchnęła śmiechem. Włączyła światło i wróciła na łóżko. Ujęła w dłonie jego twarz i przedrzeźniając powagę, z jaką wypowiedział te słowa, zaśmiała się z jeszcze większym rozbawieniem.

- Oj, mały, ty sam nie wie, co mówi. - Znowu klasnęła. - Patrzcie na niego, on myśleć, że mnie kocha. Ale w tych czasach ja widzieć już wszystko. Zobaczy mój tyłek i od razu wielką miłość mu się wydaje. Kocha to on swoją matkę.

Pstryknęła palcami i znowu zaniósła się od śmiechu. I przez wiele kolejnych dni ten śmiech rozbrzmiewał echem w pustych zakamarkach jego duszy, jakby to cały świat szydził z niego, samotnego człowieczka, który zawinił jedynie tym, że pragnął towarzystwa. To właśnie tam pierwszy raz poczuł odurzającą siłę romantycznej miłości, zupełnie innej niż ta, którą darzył swoje ptaki i rodzinę. Było to bolesne uczucie, bo na progu miłości i szaleństwa stoi zazdrość. Mój gospodarz pragnął, aby ta kobieta należała do niego, i mściwie myślał o wszystkich mężczyznach, którzy mieli posiąść ją po nim. Nie wiedział, że w życiu niczego nie ma się na własność. Że jak przyszedł na świat nagi, tak nagi z niego odejdzie. Człowiek posiada coś dopóty, dopóki ma to przy sobie. Gdy jednak to zostawia, ryzykuje, że już tego nie odzyska. Chłopak nie miał wtedy pojęcia, że mężczyzna może oddać wszystko dla kobiety, którą kocha, a gdy do niej wróci, ona już może go nie chcieć. Widywałem to wiele razy.

**I TAK, ZDRUZGOTANY TYM**, czego jeszcze nie rozumiał, opuścił burdel i postanowił, że nigdy więcej tu nie wróci.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).